rok 1 — Warszawa, dnia 1 lipca 1932 r. — nr. 7

Z zet

sztuka kultura
sprawy społeczne

cena 50 gr. — dwutygodnik

POD REDAKCJĄ JERZEGO BRAUNA

Za mały kryzys

Świat współczesny przedstawia prawdziwie smutne widowisko. Międzynarodowa więź gospodarcza rozsypuje się. Wszelkie interwencje przywódców politycznych i doradców ekonomicznych ludzkości okazują się bezskuteczne. Wszelkie teorje i systemy ekonomji politycznej bankrutują. Jeden tylko marksizm robi jeszcze dobrą minę, udając, że to on będzie wyciągał kasztany z ognia. Ale marksizm dawno już zdemaskował swą nieprzydatność praktyczną w szeregu niefortunnych eksperymentów (rządy socjalistyczne w Anglji, Austrji, Australji itp.) — zaś powstały zeń nowotwór, bolszewizm, napróżno czyni karkołomne wysiłki realizacji nowego ładu.

W tej dusznej, zarażonej paniką atmosferze, pesymizm rozrasta się, jak grzyb. Kryzys określa się już niemal jako zjawisko nadprzyrodzone, jako walkę człowieka z niewidzialnemi potęgami kosmicznemi. Ster historji wyślizgnął się z rąk wszechwładnych dotąd mężów stanu i potentatów międzynarodowej finansjery. Nikt nie wie, ku czemu zdąża Europa, a za nią cały świat. Jutro nadchodzi ku nam we mgle, z groźnie zasłoniętą twarzą.

Wszystko to wskazuje na niezwykłość epoki, w której żyjemy. Kryzys nie ogranicza się do samych tylko zjawisk gospodarczych, ogarnia bowiem różnorodne dziedziny życia społecznego. Chaos polityczny uniemożliwia powrót zaufania, alarmy wojenne histeryzują opinję publiczną. Rozgorzała również wojna religijna, przybierając gdzieniegdzie formy tak ostre, jak w średniowieczu (Hiszpanja, Rosja). Stan niepewności powiększa jeszcze kryzys nauk i filozofji, nacechowany przerażającą względnością jakichkolwiek kryterjów rozumowych. Wyraźnie kończy się w naszych oczach cała era dziejowa, a los kruszy bezlitośnie formy, które były jej wytworem.

Bierność ludzka, tak łatwo poddająca się rezygnacji i apatji, skłonna jest pogodzić się z przeświadczeniem, że świat ginie bez ratunku. Ale czynny, samorzutny nasz rozum buntuje się przeciw takiej pesymistycznej konkluzji. Twórczy optymizm dostrzega już dalszy etap cyklu ewolucyjnego, wierzy niezachwianie w nową koncepcję życia, w nową erę.

Poczucie celowości świata, właściwe naszemu rozumowi, nie dopuszcza nawet możliwości powszechnej klęski. Rodzi się w nim to pytanie, które rozum stawia nieodparcie, zawsze i wszędzie:

Dlaczego?

„To małe słówko „dlaczego?" wypełnia wszechświat od pierwszego dnia stworzenia..." (Dostojewski).

„Dlaczego" t. zn. jakie są przyczyny, ale też i *jaki cel* kryzysu? To proste pytanie wydaje się napozór paradoksalne. „Jakiż może być cel kryzysu? — powie każdy — kryzys *jest* i koniec". To naiwne rozumowanie wypływa z nieświadomości, że wszystko, co jest, musi być *dlaczegoś*. Jeżeli bowiem rzeczywistość określa się koniecznie przez przyczynowość i celowość, te dwie najwyższe zasady rozumu, jeżeli pierwsza z nich (związek przyczynowy) rządzi wszelkiemi zjawiskami, jako stosunek przyczyny do skutku — to równie niezaprzeczalnie musi niemi rządzić i druga, (związek celowy), stosunek środka do celu.

Gdy rozum stawia pytanie: skutkiem jakiej przyczyny jest obecny kryzys? — to musi też sformułować je i w ten sposób: do jakiego celu środkiem jest obecny kryzys?

Wielu myślicieli przyznaje, że epoka współczesna nosi znamiona *przejściowej*. Jedna era gaśnie, aby mogła rozświecić się druga. Ale rozległość terenu, na którym odbywa się ten proces metamorfozy, mnogość powikłań i problemów, wreszcie zawodność wszelkich recept, które dotąd uchodziły za pewne — świadczy, że ludzkość przeżywa przełom, najdonioślejszy w swych dziejach.

Tym razem nowa era nie dźwignie się tak łatwo z rumowisk starej. Żaden ze środków, jakiemi historja posługiwała się dotąd, nie wystarcza. Póki procesy historyczne odbywały się na mniejszą skalę i na ograniczonych, odosobnionych od siebie terenach, dopóty sprawa była mniej skomplikowana. Dziś idzie gra o cały glob, o sto państw i ludów, o „być albo nie być" człowieczeństwa na ziemi. Dlatego trzeba teraz jakiegoś środka uniwersalnego, panaceum.

Zagrożone są wszystkie pozycje naraz. Nic dziwnego, że mężowie stanu potracili głowy, przewidując słusznie, że czasy przerosną ich i cugle historji wyszarpną się z ich ręki.

Ale w tym stanie rzeczy konieczny jest jakiś nowy autorytet, przewyższający swą potęgą wszystko, co można sobie było dotąd wyobrazić. Potrzebny jest cel, przy którym wszystkie dotychczasowe cele ludzkości zgasłyby jak świeczki przy słońcu. Jednem słowem, potrzebna jest *nowa prawda* dziejowa, która samym swoim ciężarem przeważy ciśnienie miljarda zrozpaczonych istnień ludzkich, góry katastrof gospodarczych, grozy nowej światowej rzezi wojennej, mnóstwa sprzecznych, poplątanych interesów, egoizmów narodowych, nienawiści klasowych i t. d.

Era nadchodząca — musi być erą nadludzką, tą, której samo przeczucie już wyglądało przez długie stulecia na niezniszczalną utopję. Wszystkie problemy uważane za rebusy nie do rozwiązania — winny być przez nią rozstrzygnięte od jednego zamachu.

Aby osiągnąć taki cel, trzeba użyć środków olbrzymich. Otóż takim środkiem na gigantyczną miarę jest cała obecna epoka przejściowa ze wszystkiemi towarzyszącemi jej klęskami, zaś kulminacyjnym — jak dotąd — jej etapem jest obecny kryzys powszechny.

Celowość i pożyteczność katastrofalnego stanu, w jakim się ludzkość dziś znajduje, zdaje się być niewątpliwa. Era jutrzejsza powinna być erą pełnego Człowieka, czyli Rozumu — bo tylko rozum absolutny da sobie radę z nowoczesnym węzłem gordyjskim, będzie umiał go przeciąć. Zaś rozum nasz (daleki dziś jeszcze od doskonałości) odznacza się tem, że w dostatku i spokoju rozleniwia się, przestaje działać, zapomina o swoich celach. Dopiero wrogi nacisk okoliczności pobudza jego funkcję. Prężność jego rośnie w stosunku do wzrostu tego nacisku, aż dochodzi wreszcie do tego, że w obliczu śmiertelnego niebezpieczeństwa znajduje on z piorunującą szybkością środki ratunku.

„Jak trwoga to do Boga"... „Potrzeba jest matką wynalazków"... Tak mówią przysłowia. Póki człowiek mniema, że jakoś się jeszcze wykręci („jakoś to będzie...) — energja twórcza spoczywa w nim uśpiona. Dlatego to i teraz, mimo tylu bolesnych doświadczeń, ludzkość uchyla się wciąż przed koniecznością rewizji prawd, jakie rządziły nią do dzisiaj.

Świat *nie chce myśleć*. Dlatego udaje wciąż przed samym sobą, że da się jeszcze wszystko załatwić po partacku, kilku frazesami i pociągnięciami pióra, a ewentualnie zapomocą tanków i samolotów bombowych. Ale wszystkie niewinne półśrodki — do których należy zaliczyć nawet światową rewolucję socjalną, lub wytępienie 20 miljonów ludzi gazami trującemi — dziś już nie pomogą. Powiększą one tylko chaos, a po ich zastosowaniu ciśnienie katastrofy tak się zwiększy, że konieczność szukania nowej prawdy okaże się stokroć bardziej nagląca.

Ta nowa prawda znajduje się napewno na dnie ludzkiego rozumu. Trzeba tam po nią sięgnąć. Ale może to nastąpić tylko przez potężny wysiłek myśli. Rozum ludzki musi dziś bowiem, ni mniej ni więcej tylko *poznać samego siebie*.

Kryzys jest „końską kuracją". Ale operacja zdjęcia katarakty z oczu musi być bolesna. Ludzkość nie zechce szukać Prawdy, która jedynie może ją ocalić — póki nie zostanie zsiekana niebywałemi w dziejach klęskami, jak nowym biczem Bożym.

Gdyby ludzie byli mniej leniwi, gdyby odznaczali się większą wyobraźnią — nie byłoby to w tym stopniu potrzebne. Ale człowiek jest dziwnem stworzeniem, które — nie z bohaterstwa, lecz raczej z głupoty — chodzi sobie pod tysiącem mieczów Damoklesowych, pogwizdując beztrosko i wymachując kokieteryjnie kapeluszem. Gdy naokoło niego wali się wszystko, przygląda on się temu widowisku znudzony, jakgdyby nie dotyczyło go ono wcale. Gdy natomiast cios spadnie jemu samemu na łeb, ucieka w panice, albo złorzeczy. Psychologja tego zadziwiającego tworu da się streścić w następującem zdaniu: Niech Ocean pochłonie Europę, bylem ja mógł jeszcze dziś wieczór wypić w kawiarni szklankę dobrej kawy.

Takie zachowanie się robi wrażenie apokaliptycznie niesamowite. Nic też dziwnego, że środki, jakie mają przywieść świat do opamiętania muszą być równie apokaliptyczne. Inaczej minęłyby one bez wrażenia, tak jak minęła rewolucja w Hiszpanji, awantura w Szanghaju, kryzys funta. Środki te są konieczne, więcej nawet, błogosławione! Można boleć nad samym sobą i nad innemi ofiarami dzisiejszego kryzysu, rozum jednakowoż każe nam stwierdzić, że ciśnienie jego jest dotąd jeszcze niedostateczne.

Ludzkość nie nauczyła się myśleć. Znaczy to, że kryzys jest za mały. Wiara w celowość historji pozwala przypuszczać, że będzie on jutro o wiele większy — jeżeli ma być naprawdę skutecznym środkiem do osiągnięcia *wielkiego celu*.

Doniosły problem prawny

W n-rze 4-tym „Głosu Plastyków" (kwiecień 1932) znajduje się bardzo ciekawy „Projekt ustawy o przymusie wystawiania obrazów dawnych mistrzów". Autor tego projektu Henryk Gotlib porusza w nim sprawę ogromnej doniosłości, która znaczeniem swem przerasta nawet zakres jego intencyj.

Idzie mu o zużytkowanie znajdujących się w posiadaniu prywatnem skarbów sztuki, a mianowicie udostępnienie ich ogółowi przez „Wystawy Państwowe", którym właściciele obrazów winni udzielać na okres 6 miesięcy objektów, zakwalifikowanych przez specjalną komisję, jako nadające się dla celów muzealnych.

„Punktem wyjścia dla tego projektu jest fakt, ogółowi mało znany, że Polska jest nieodkrytą dotąd kopalnią dużych skarbów malarstwa wszystkich epok i narodów Projekt opiera się na pełnem poszanowaniu prawa własności i stanowiłby tylko pewne jego ograniczenie, usprawiedliwione względami na dobro ogólne".

Jako precedens prawny podaje autor fakt, że „w dziedzinie sztuki ograniczenie prawa własności znalazło swój wyraz bardzo dosadny w naszem ustawodawstwie". Także „obowiązujące obecnie rozporządzenie Prezydenta Rzeczypospolitej z 6.III 1928 roku „o opiece nad zabytkami", wprowadziło zasadę ograniczenia własności prywatnej odnośnie do zabytków"...

Oczywiście „że po 6-miesięcznej „służbie wystawowej" obraz powraca do właściciela, który może go sprzedać, zastawić, lub nawet po uzyskaniu pozwolenia wywieść zagranicę".

Projekt ten pobudza siłą rzeczy do refleksyj natury bardziej ogólnej. Powstaje tu mianowicie problemat, czy twory ducha ludzkiego, dzieła najwyższego genjuszu, czy to w sztuce, czy w nauce, będące w czyjemś prywatnem posiadaniu, nie są zarazem wspólnem dobrem całej ludzkości? Czy w przeciwieństwie do artykułów codziennej potrzeby, których cena tażsama jest z ich wartością, nie mają one w sobie jakiejś wartości transcendentnej, której nie można nabyć ani za 100 ani za 1.000 zł.? Czy zatem nie należałoby zabezpieczyć prawnie objekty tego rodzaju przed **ukrywaniem**, lub nawet zniszczeniem przez posiadacza? Samo poczucie moralne mówi nam, że taka ewentualna ochrona nie miałaby nic wspólnego z pogwałceniem prawa własności, gdyż tak jak kapłan nie może uważać za własność prywatną prawdy objawionej ludzkości przez Boga w Piśmie św., gdyby np. posiadał jedyny na całym świecie egzemplarz tej księgi, — tak nie może nikt uważać za własność prywatną natchnionych kreacyj Piękna, lub odkryć filozoficznych, czy naukowych, których twórca ich dokonał nie dla jednostki, lecz dla całej ludzkości, dla wszystkich bez wyjątku istot rozumnych.

Nasuwa się tu, jako ilustracja tego zagadnienia, poruszona przez nasze pismo sprawa rękopisów Hoene - Wrońskiego, znajdujących się w posiadaniu Miriama. Na wagę tego problematu zwróciła słusznie uwagę „Myśl Narodowa" z dn. 12 czerwca 1932, pytając „w jakiej mierze dzieła zmarłych pisarzy mogą być uważane za własność prywatną".

„Kwestja, jakie stanowisko zajmie sąd w tej sprawie, budzi wielkie zainteresowanie wśród prawników — pisze „Myśl Narodowa".

Istotnie, wątpliwości i refleksje natury moralno - prawnej jakie budzi całe to zagadnienie, winny być jaknajgłębiej rozważone i jak najrychlej rozstrzygnięte — i to zarówno w interesie prawa, jak dobra publicznego.

Berent do nagrody Nobla

W związku ze zbliżającą się nagrodą Nobla polskie koła literackie roztrząsają już kwestję wysunięcia naszych kandydatów. Mówi się już w Warszawie na ucho o tym i o owym, ale otwarcie nie rzucono jeszcze żadnego nazwiska. Zato krakowska „Gazeta Literacka" czyni krok śmiały i słuszny, występując z inicjatywą, której trudno nie przyklasnąć.

W artykule „O nową kandydaturę polską do nagrody Nobla" wysuwa ona nazwisko Wacława Berenta, którego 60-lecie urodzin obchodzić będziemy w r. 1933, a więc właśnie w terminie najbliższej nagrody.

„Gazeta Literacka" w prostej i zwięzłej formie, bez patosu i retorycznych ozdobników, przypomina ogółowi polskiemu walory twórcy „Żywych Kamieni", „Próchna", „Oziminy", „Fachowca", „Szabli i Ducha", pisząc m. i.:

„Głębia dzieł i wytworny artyzm, mistrzowstwo psychologiczne obok „języka pełnego brylantów" (że użyjemy zwrotu Słowackiego), wreszcie powaga stanowiska wobec palących i głębokich zagadnień życia i ducha ludzkiego, dały Berentowi po Żeromskim bezsprzecznie berło prozy polskiej do rąk".

„Jest to jedynie winą naszej opieszałości, że twórca ten nie jest tak znany światu, jak Romain Rolland, Hamsun, czy Chesterton, którym nietylko jest równy, ale od których jest głębszy. Gdyby Czesi lub Niemcy posiadali takiego wielkiego twórcę jak Berent, cały świat znałby jego imię".

„Berent jest dziś najbardziej europejskim pisarzem polskim, a dzięki uniwersalizmowi zagadnień swych dzieł („Próchno" — „Żywe Kamienie") — **uniwersalnym.** Dlatego uważamy, że Polska powinna wysunąć jego kandydaturę do nagrody Nobla, jako trzecią z rzędu po Sienkiewiczu i Reymoncie".

„Żywe Kamienie" uchodzić mogą za unikat „nietylko w naszej, ale i w europejskiej literaturze". Przytem dzieło to nie jest obce czytelnikowi europejskiemu, jest bowiem przełożone na język francuski („Les pierres vivantes") oraz fragmentarycznie na włoski. „Próchno" ma przekłady: niemiecki („Edelfaüle") czeski („Prachnivina"), rosyjski („Gniłuszki")..

Wysuwając kandydaturę Berenta zapowiada „Gazeta Literacka" przeprowadzenie ankiety o jego twórczości wśród najwybitniejszych pisarzy europejskich.

Inicjatywa „Gazety Lit." powinna znaleźć żywy oddźwięk już nie w samych tylko kołach literackich (które porozrywane na koterje i kliki niezawsze umieją się zdobyć na spokojny sąd i objektywizm), lecz w całem społeczeństwie: jakkolwiek bowiem typ twórczości tego pisarza sprawia, że rozkosz estetyczna, jaką daje, nie wszystkim jest dostępna, jakkolwiek książki jego, takie zwłaszcza, jak mistrzowskie, lecz wymagające rozsmakowania „Żywe Kamienie" nieprędko trafią „pod strzechy" — to jednak społeczeństwo nasze umie ocenić to, co w dziełach jego twórców posiada istotną, nieprzemijającą wagę. Właśnie ta rdzenność, rzetelność i waga wewnętrzna berentowskiego słowa twórczego — rzucona na szalę prozy polskiej, przeważyć winna wiele dokonań współczesnych, ambitnych może i pod względem techniki pisarskiej stojących poza zarzutami, ale myślowo lżejszych i bardziej może efemerycznych.

Wielkość na kredyt

W numerze 4-tym „Zetu" poruszyłem sprawę rękopisów Hoene - Wrońskiego, znajdujących się w posiadaniu Miriama. Uczyniłem to w intencji uczciwej, w pełnej zgodzie z własnem sumieniem, nie dla sensacji, lecz dla ostrzeżenia społeczeństwa, że jego najwyższe dobra duchowe nie są dostatecznie chronione i użytkowane. Nie znaczy to wcale, że uzurpuję sobie w jakikolwiek sposób prawo obrony i straży dóbr kulturalnych narodu polskiego; uważam bowiem, że prawo to, a raczej obowiązek, ma każdy, kto dowie się o niebezpieczeństwach, jakie dobrom tym zagrażają. W mojem przekonaniu, byłbym moralnie odpowiedzialnym, czyli **współwinnym**, gdybym sprawę tego rodzaju przemilczał, z marnego wygodnictwa, lub obawy, że ściągnę na siebie czyjś gniew i prześladowania.

Wiem dobrze, że uderzając w Miriama otwarcie, **wypełniłem tylko to**, co wielu poważnych i zasłużonych ludzi nauki uważało oddawna za konieczne. Wiem, że wziąłem na siebie całe odium Miriama i jego zwolenników i całe ryzyko pierwszego natarcia na dobrze obwarowane siedlisko wyniosłej obłudy i przereklamowanych wielkości, usłane umiejętnie u szczytów piramidy społecznej. Ale wiem również, że tam gdzie idzie o wielkie, wszechludzkiej doniosłości ideje, trzeba zawsze Winkelriedów, którzy zgarniają we własną pierś wszystkie ostrza, aby idejom tym otworzyć drogę.

Jest to problem podziału funkcyj. Ktoś musi wziąć na siebie brzemię walki, ktoś musi dokonać przykrej misji zdzierania z głów fałszywych wieńców laurowych i roztrzaskiwania kadzielnic o ile te wieńce i te kadzidlane dymy spowijają rzeczywistość polską w kłamliwe i szkodliwe maski.

Misji takiej podjąłem się samorzutnie, bo rozdawcą misyj jest tylko nasze własne sumienie. I będę ją pełnił konsekwentnie, nie dbając, że ciosy, obelgi i okrzyki zgorszenia wezmą sobie za cel moją głowę. Dlatego z zupełnym spokojem obserwuję próby zmobilizowania przeciwko mnie opinji publicznej, czynione przez obrońców Miriama dla obrony sprawy, która doprawdy... na obronę nie zasługuje.

W „Dniu Polskim" ukazał się artykuł p. Zaniewickiego p. t. „Nie pozwalam!" Redakcja „Dnia Polskiego" zamieszczając to, umyła ręce jak Piłat, tem niemniej jednak pozwoliła sobie na nieprzychylne uwagi pod moim adresem. Słowa jej „o bardzo niepożądanym zasmucającym wręcz stanie duchowym pewnych kół czy kliczek literackich" mogłyby mnie tylko ubawić, gdyby nie bolesna refleksja, że bardzo głucho i ciemno musi być w niektórych mózgach i sercach polskich, jeżeli nie umieją one odróżnić, skąd płynie prawdziwy alarm ducha.

Niegdyś — w czasach smutnej pamięci — wszelkie zbawienne poruszenia opinji polskiej, wszystkie doniosłe inicjatywy i uchwały, zrywane były na sejmach krzykliwem: „Nie pozwalam!" Taki pan „nie pozwalał", ilekroć szło o dobro publiczne; nie było natomiast takich, którzyby rzucili swoje „veto!" na szalę, wtedy, gdy knuły się zamachy anarchji i ciemnoty na całość Rzeczypospolitej. „Nie pozwalam!" — rozbrzmiewa i dzisiaj. Niestety dzieje się to starym zwyczajem, w obronie prywaty, a przeciwko rzecznikom interesu publicznego.

P. Zaniewicki „nie pozwala". Niech wszystko toczy się dawnem, mętnem korytem. Niech pseudo - autorytety drzemią sobie w oparach kadzidlanych, niech kręci się chochołowy taniec. Niech Miriam dalej siedzi w fotelu, schylony nad bezpłodną pracą, której rezultaty zobaczymy może po stu latach. Niech rękopisy Wrońskiego i Norwida leżą sobie spokojnie w skrzyniach i kufrach. A „ryzykanci" w rodzaju Brauna niech milczą i nie zakłócają miłej, pogodnej sjesty. „Nie pozwalam!"

Zmuszony jestem — bez pozwolenia — odpowiedzieć na ten patetyczny protest.

W artykule moim pt. „Boa - dusiciel" trzymałem się zasady: nie zaciemniać tego, co wiemy — tem, czego nie wiemy. P. Zaniewicki postępuje wprost przeciwnie: stara się przemilczeć to, co wiemy, a rozwodzi się szeroko nad tem, czego nie wiemy. Wiemy bowiem, że Miriam posiada rękopisy Wrońskiego i strzeże ich zazdrośnie: natomiast nie wiemy, czy pracuje nad niemi, bo w ciągu 35 lat nie dał na to żadnego dowodu. Społeczeństwo jest cierpliwe, zwłaszcza gdy mu się suggeruje czyjąś wielkość zręcznie i konsekwentnie. Ale przez całe życie nie można być wielkim na kredyt. Tymczasem cały autorytet Miriama oparty jest na kredycie, bo wydawanie pisma literackiego, choćby tak doskonałego, jak „Chimera", nie jest bynajmniej w dziejach kultury czynem „nie mającym w dziejach naszych ani przykładu, ani nawet podobieństwa", (cytat z art. p. Zaniewickiego). Na kredyt musimy przyjąć jego „gruntowną znajomość rzeczy", oraz twierdzenie p. Zaniewickiego, że „rękopisy... znajdują się w najbardziej powołanych, najbardziej kompetentnych rękach".

Tej pustki realnych, konkretnych rezultatów pracy Miriama nie da się zapełnić deklamacjami i patetycznemi zwrotami. Nie pomogą też panegiryczne epitety, w rodzaju: „Wielki Samotnik", „Milczący Filozof". Samotność nie jest synonimem wielkości, lecz raczej mizantropji: zaś „Milczącym Filozofem" można nazwać kogokolwiek, bo póki ten ktoś milczy (tj. ani nie pisze, ani nie mówi) nie mamy sprawdzianów czy jest on filozofem, czy dajmy na to, aptekarzem. Ale zagadkowe milczenie imponuje niejednemu. Kobiety np. nazywają interesującym tego, kto umie milczeć w towarzystwie uporczywie i znacząco.

Ale p. Zaniewicki mówi wyraźnie o „bezcennej ofierze życia (dla) myśli filozoficznej". Czyżby krótka wzmianka o „transcendentalnej jaźni", napisana raz przez Miriama, była dostatecznem świadectwem tej ofiary? Autor artykułu „Nie pozwalam!" jest stanowczo zamało wymagający. Poruszając np. sprawę pobrania przez Miriama zapomogi z Kasy Mianowskiego, zapytuje dobrodusznie: „No, więc cóż? Czyż Miriam nie studjował Wrońskiego?" Cóż chcecie od biednego człowieka? Wziął pieniądze i studjował. Studjuje wciąż jeszcze. Dowodzi to wielkiej wytrwałości, konsekwencji, uporu.

Gdybyż to było wystarczające. Gorzej jeszcze, że na pytanie p. Zaniewickiego nie możemy dać wyraźnej odpowiedzi. Czy studjował? — nie wiemy. Stopień prawdopodobieństwa odpowiedzi przeczącej większy niż twierdzącej, albowiem wiedza posiada prężną siłę ujawniania się, promieniowania na zewnątrz — i to nawet w warunkach niesprzyjających, podczas gdy Miriam, zwłaszcza w okresie „realizatorskiej pracy" na stanowisku Ministra Kultury i Sztuki, miał dla akcji na tem polu konjunkturę wyjątkowo pomyślną.

P. Zaniewicki wszystko to przemilcza. W furji bojowej poczyna sobie bardzo energicznie. Przedewszystkiem zaprzecza mi wogóle prawa zabierania głosu „w imieniu narodu" i bąka coś brzydkiego o moich „intencjach". Następnie pomawia mnie o pokątne, okrężne oskarżenie Miriama „o interesowność — prawie o przywłaszczenie pieniędzy publicznych". Wreszcie stwierdza, że Miriam wogóle nikomu nigdy nic nie zapowiadał i nie obiecywał, niema tedy powodu spłacać „dług, zaciągnięty wobec opinji publicznej".

Pisze także: „A może p. Braun sądzi, że Miriam uniemożliwia innym dostęp do dzieł Wrońskiego? Ale czytał chyba tłómaczenie p. Chomicza — a więc swego przyjaciela — w którem ten dziękuje Miriamowi za udzielenie mu pewnego unikatu".

Odpowiadam na to po kolei:

Gdzież to ja przemawiam „w imieniu narodu polskiego"? Czy w zdaniu: „z którą to spuścizną postępuje sobie tak jakby właścicielem jej był on sam, a nie naród polski?" W takim razie i p. Zaniewicki przemawia w imieniu narodu, gloryfikując zasługi Z. Przesmyckiego dla kultury polskiej i ofiarę „złożoną sztuce i myśli filozoficznej swego narodu". Ale to tylko sofistyka i łamańce stylistyczne. Świadome życie **kulturalnego** człowieka wiąże się tak ściśle z życiem narodu i ludzkości, że każde wystąpienie w sprawie publicznej musiałoby wyglądać na przemawianie w imieniu zbiorowości.

Co zaś do moich intencyj, to wara do nich p. Zaniewickiemu! Może on sobie oceniać i interpretować moje postępki, ale osąd intencyj, należy tylko do mojego sumienia.

A teraz o pokątnych oskarżeniach: Przedewszystkiem niech sobie p. Zaniewicki zapamięta, że ja nic czytelnikowi nie suggeruję. Niema rzeczy, którejbym „nie śmiał wprost powiedzieć", o ile jest zgodna z prawdą i słuszna. Prawda zawsze zwycięży, chociażby wyszła w pojedynkę, jak rycerz Zawisza przeciw całym hordom swych wrogów.

Nie wmawiam wcale czytelnikowi, że „Miriam pobrał pieniądze na napisanie (a może i wydanie) jakiegoś dzieła" — stwierdzam tylko, że korzystanie z pomocy instytucyj publicznych zobowiązuje moralnie i prawnie do wylegitymowania się owocami podjętej pracy — i to, o ile możności, w ciągu życia, a nie po śmierci, która każdego z nas czeka. (Zaznaczam zresztą, że życzę Miriamowi by dożył 100 lat i miał czas tem samem wykazać się w oczach społeczeństwa działalnością w tempie przyspieszonem).

Tembardziej nie oskarżam Miriama o interesowność i „przywłaszczenie pieniędzy publicznych". Nie przypuszczam ani przez chwilę, by Miriam polował na jakieś korzyści materjalne. Co wziął i ile wziął — nie obchodzi mnie wcale. Idzie mi tylko o to, że gdy otrzymał najdrobniejsze choćby subsydjum, już stał się dłużnikiem społeczeństwa i państwa polskiego. Posądzanie mnie o wyciąganie na światło dzienne jakichś brudów materjalnych — to chwyt łatwy, ale nieuczciwy.

Oświadczam kategorycznie że:

1) szło mi o określenie obowiązku społecznego Miriama, a nie o pieniądze, które otrzymał;

2) musiałem wspomnieć o subsydjach, inaczej bowiem nie byłoby podstawy prawnej do żądania od Miriama dokonania zapowiedzianego dzieła.

A teraz jeszcze o zapowiedziach... Gdyby ich nie było, Miriam nie dostałby ani jednej zapomogi, te bowiem przyznaje się ludziom nie dla ich pięknych oczu, ani dla ich prywatnej satysfakcji, lecz w widoku owoców ich pracy, cennych dla nauki i dla kultury narodowej. Skądżeby Żeromski, W. L. Jaworski, Lange, a z żyjących Chomicz, Zaleski i i. ubzdurali sobie, że Miriam ma opracować Wrońskiego, gdyby on sam nic nigdy nie obiecywał? Z jakiej racji miałaby Akademja Umiejętności uważać go za oficjalnego niejako rzeczoznawcę w sprawach „wronskianów"?

Zresztą Z. Przesmycki pisze o tem sam w podaniu o zapomogę złożonem w Kasie Mianowskiego (w t. XV. „Nauki Polskiej"): „Doszedłem do przekonania, że filozof ten (t. zn. H.-Wr.) z trzech względów zasługuje na sumienne opracowanie i podanie współczesnym..." itd. Przykład niedotrzymanych obietnic Miriama podaliśmy w 6 nrze „Zetu", cytując zapowiedź udowodnienia ścisłej daty urodzin Wrońskiego, zamieszczoną w „Chimerze" w r. 1902.

Zarzutu uniemożliwiania innym dostępu do rękopisów Wr. nie postawiłem w mym artykule (choć byłby on uzasadniony!) — nie zwykłem bowiem pisać rzeczy, które udowodnić trudno choćby dlatego, że ludzie nauki, którzy doświadczyli tego na sobie, są zbyt pokojowo usposobieni, by chcieli angażować się osobiście w walkę publiczną; zresztą Miriam mógłby wówczas z łatwością powołać na świadka kogoś ze swych przyjaciół, którym — być może — rękopisów udzielał.

Źle jednakowoż trafił p. Zaniewicki, wspominając o prof. Chomiczu, (którego przyjaźń — o ile ma miejsce — bardzo sobie cenię). Podziękowanie p. Chomicza zamieszczone w przedmowie do przekładu dziełka „Zapiski o aberacji gwiazd" wydało mi się nacechowane gorzką ironją. Aby upewnić się w tym względzie, poprosiłem go o wyjaśnienia; w odpowiedzi usłyszałem wymowny wiersz Wergiljusza: „Infandum domine, jubes renovare dolorem". Ze słów tych może czytelnik wywnioskować — jak sądzę — czy i w jakiej mierze Z. Przesmycki przyczyniał się do wydawania wronskianów i ułatwiania studjów nad tą doktryną.

Ustęp w artykule p. Zaniewickiego o bibljotece Kórnickiej brzmi ni w pięć ni w dziewięć. Studjujący Wrońskiego wiedzą o niej doskonale, ale wiedzą też, że rozsprzedała ona dużą ilość dzieł Wrońskiego (w języku franc.) po niskiej cenie, a rękopisy pozwala odpisywać, czyniąc wszelkie udogodnienia — wobec czego zarzut „dławienia" nie może się do niej stosować. Od bibljoteki nie wymaga się wydania dzieł, lecz trzymania ich i wypożyczania dla studjów. Z Miriamem zaś rzecz ma się zupełnie inaczej.

Wszelkie „kategoryczne zaprzeczenia" p. Zaniewickiego (czynione widocznie w porozumieniu z p. Przesmyckim, a więc nie przez człowieka bezstronnego „stojącego na uboczu") uważać muszę za gołosłowne. Nie twierdziłem, że Miriam brał bezpośrednio jakieś pieniądze z Wydziału Spółki Naftowej, musiał jednak mieć z nią do czynienia pośrednio, przez Akademję Umiejętności, jeśli słowa śp. Leopolda Jaworskiego mają jakąkolwiek wagę. Sprawy tej i jej podobnych nie chcę omawiać szerzej, by nie dawać żeru tej części publiczności, która czyha na sensację. Dlatego odpowiednie dowody, listy i świadectwa ludzi uczonych i w społeczeństwie poważanych rezerwuję na przewód sądowy.

Nigdy nie żądałem, by Miriam „przerwał pracę i złożył rękopisy w jakiejś bibljotece" (teraz nie miałby już nawet prawa tego uczynić). Chodzi mi tylko o to, by dał on społeczeństwu owoc swej 35-cioletniej, zakonspirowanej pracy.

Wezwanie to zdaje się być szczególnie nieodzowne w stosunku do spuścizny takiej, jak rękopisy filozofji absolutnej, H. Wrońskiego. Pewne dzieła posiadają bowiem wartość bezcenną, nietylko dla specjalistów, ale dla narodu, a nawet dla całej ludzkości. Miriam musi chyba znać dobrze olbrzymią doniosłość społeczną doktryny Wrońskiego (gdyby po kilkudziesięciu latach studjów nie pojął nawet tego, wystawiłby sobie smutne świadectwo). Tem większy obowiązek ciąży na nim i tem mniej ma prawo uważać te skarby myśli za własność prywatną.

Dzieła takie, jak Wrońskiego, wyprzedzające genjuszem **swoich współczesnych**, stają się aktualne dla następnych pokoleń, które czerpać z nich mogą ożywczą moc reformatorskich idej. Kto przetrzymuje je, dławi w ukryciu, grzeszy nietylko przeciw kulturze, ale popełnia czyn antinarodowy, anti-państwowy. Gdy społeczeństwo zrozumie kiedyś, czem mogła być dlań filozofja Wrońskiego i jak dalece wysuwa ona myśl polską na czoło myśli całego świata — ujrzy dopiero w całej pełni nieopatrzną winę Miriama. Jeśli przedrukowaliśmy w „Zecie" art. „Jutra Pracy" p. t. „Tragiczny starzec" to może właśnie dlatego, by znaleźć dla niego niejako usprawiedliwienie w oczach opinji publicznej.

Cóż bowiem byłoby, gdyby nikt prócz Miriama nie wziął się do studjów nad Wr. i do publikacyj jego dzieł? Cóż byłoby, gdyby nie to, że bez jego pomocy i bez subsydjów przełożono i wydano kilkanaście książek, nawiązano kontakt z badaczami Wr. zagranicą, urządzono szereg odczytów i obchód 150-lecia w r. 1928-mym. Z pewnością byłoby o Wrońskim tak samo głucho po wojnie, jak przed wojną. Miriam jest już człowiekiem wiekowym. Niewątpliwie do końca życia nie posunąłby sprawy ani o krok naprzód. Niewiadomo, czy ma następcę, którvby kontynuował rozpoczętą pracę; gdyby jednak nawet tak było, to sądzić należy, że następca ten wychowany w atmosferze opieszałości tak niesamowitej, poczynałby sobie tak samo. W tym stanie rzeczy myśl największego genjusza, jakiego wydała ludzkość, spoczywałaby dalej, jak zaklęta królewna w zupełnem odrętwieniu. W najlepszym razie może dopiero w 3-ciem tysiącleciu po Chrystusie (tj. po r. 2000) moglibyśmy spodziewać się, że smocze gniazdo spadkobierców Miriama da Polsce jakiś owoc swej działalności.

Do tego nie wolno było dopuścić. Sprawę tę należało postawić na ostrzu miecza. I na ostrzu miecza rozstrzygnie się ona, jeżeli wąż-boa nie wydobędzie skarbów na światło dzienne ze swych zazdrosnych oplotów.

Jerzy Braun.

O „Czystej Formie"*)

Nie mam zamiaru powiedzieć nic nowego, tylko podać szkic ogólny tak zwanej teorji Czystej Formy. Zarzucano mi w tej materji rozwlekłość i niejasność — toż chcę się **maksymalnie** skondensować, przy jednoczesnej maksymalnej popularności ujęcia rzeczy w ten sposób, by nie była implikowana konieczność jakiejś specjalnej wiedzy w celu zrozumienia przedstawionej tu ideji.

Uważam, że mimo iż tak zwana nowa sztuka jest czemś przebrzmiałem, a tembardziej jej teorja, a u nas może teorja sztuki wogóle nikogo bardzo nie obchodzi poza paroma specjalistami, to jednak ze względu na powtarzające się uporczywie nieporozumienia u różnych krytyków, (jak np. u Irzykowskiego, Boya, Piwińskiego itd., wmawianie czytelnikowi, że wszystko jest dawno załatwione i przezwyciężone w innej drodze), **warto przypomnieć** elementy choćby najprostsze ideji, która tłómaczy nie tylko zjawiska sztuki najnowszej, ale także i dawnej.

Przedewszystkiem muszę zgóry oświadczyć, że należyte rozstrzygnięcie wszystkich problemów, które mam zamiar tu poruszyć, jest prawie niemożliwe. Mogę zaledwie naszkicować temat w ogólnym zarysie. Będzie to nie systematyczny wykład, a raczej dywagacja, mogąca tylko pobudzić do myślenia w kierunku moich rozwiązań i dać materjał do dyskusji.

Ci, którzyby chcieli wyjaśnienia zagadnienia nowej sztuki, w paru słowach, nie zdają sobie sprawy z trudności problemu. Nie podobna zabrać się do sztuki nowej nie wyjaśniwszy przedtem czem jest sztuka wogóle. A to jest równoznaczne ze zbudowaniem systemu estetyki. Dodać trzeba, że te teorje, które znam, nie zadawalniają mnie i muszę wszystko zaczynać od początku, poruszając się czasem na terenach zupełnie niezbadanych, a często zachwaszczonych gruntownie przez naturalistyczną ideologję, którą zwalczam. Dlatego muszę prosić o pewną wyrozumiałość i dobrą wolę w nastawieniu się na zrozumienie mnie, a nie na programowy opór, z którym się tak często spotykałem. Bo, jak słusznie twierdzi Bertrand Russell, chęć odrzucenia par force poglądów danego autora nie jest najlepszym sposobem zrozumienia jego idei.

Chciałbym możliwie poprostu, nie mięszając do rzeczy żadnych filozoficznych rozważań, a nawet używając jak najmniej mojej własnej terminologji, która zdaje się wielu zniechęcać do mojej teorji sztuki, wyłożyć o co mi chodzi. Czy osiągam to w praktyce, jest zupełnie inną kwestją. Na ten temat zwierzę się w paru słowach na końcu tego odczytu.

Zarzucano mi zawiłość i niejasność w wykładzie mojej teorji. Możliwe, że częściowo zarzut ten jest słuszny. Ale oprócz tego, że sformułowanie się danego autora może być mniej lub więcej doskonałe, jest faktem, że istnieje pewna hierarchja samych tematów. Muszę skonstatować, że problem sztuki należy do najtrudniejszych wogóle, co nie przeszkadza, że wielka ilość ludzi mówi o nim lekko i bez głębszego namysłu. Przedewszystkiem postępują tak krytycy, do których należałoby wychowanie estetyczne publiczności. Ale dalecy są oni od spełniania tego zadania. Przeciwnie, przyzwyczajają wszystkich do zupełnego braku szacunku dla zagadnień artystycznych. Każdy uważa się za wyrocznię w tej sferze, nie przemyślawszy zupełnie zasadniczych trudności.

Dopóki istniał tylko realizm wszystko było jeszcze dobrze. Każdy mógł mówić o dziełach sztuki porównywując przedstawioną rzeczywistość z tem co widział i słyszał. „Widzę naturę, widzę jaką ona jest na obrazie — czemu nie miałbym o tem mówić". Otóż o tem potrafi mówić każdy i krytyk i t. zw. laik, który od krytyka różni się przeważnie tylko tem, że nie pisze krytyk.

Tak było w malarstwie i podobnie było i w innych sztukach, z wyjątkiem może jednej muzyki, która na tyle jest szczęśliwszą, że o uczuciach życiowych, które są nieistotną, a jednak konieczną jej treścią nie można tyle mówić, co o przedmiotach i życiu, w związku z malarstwem, poezją i teatrem.

Ale przyszło odrodzenie Czystej Formy — termin ten wyjaśnię, na ile będę mógł nieco później — i to odrodzenie w formach, nie przypominających form dawnych. Wszystko skiełbasiło się nagle w chaos pozornie nie do wybrnięcia.

Wszyscy zaczęli mówić o sztuce prawdziwej z tą samą lekkomyślnością, którą zdobyli mówiąc o przedstawionem życiu w stosunku do rzeczywistości. Ci, którzy tak postępują są podobni, dla mnie, do ludzi, mówiących o fizyce a propos teorji Einsteina i krytykujących go, podczas, gdy wczoraj jeszcze nie wiedzieli prawie o tem, że fizyka istnieje i że przed Einsteinem był Newton i Galileusz.

Zasadniczy problem postawię w sposób następujący: **w jaki sposób odróżnić dzieła sztuki od innych zjawisk i przedmiotów.** Wprowadzam to rozróżnienie ponieważ pewne dzieła sztuki trwają w czasie np. utwory muzyczne, poematy i sztuki teatralne, inne istnieją w przestrzeni jak np. rzeźby i obrazy, — pierwsze nazywam zjawiskami, drugie przedmiotami. W rzeczywistem życiu mamy również i jeden i drugi rodzaj istności.

Postawiony tak problem zdaje się dziecinnie łatwy. W rozwiązaniu jednak napotykamy na pozornie nieprzezwyciężone trudności. Zaznaczyć muszę, że w estetyce postępować musimy podobnie jak w innych naukach.

Stawiamy pewne hypotezy i badamy następnie na ile są one w stanie zdać sprawę z całokształtu zjawisk, które mamy opisać.

Im większą ilość zjawisk możemy ująć przy pomocy danej hypotezy w sposób jednolity, tem będzie ona doskonalszą. Musimy jednak wyjść z pewnych pojęć zasadniczych nie dających się zdefinjować i z pewnych założeń pierwotnych, nie dających się udowodnić. Tak postępują przyrodnicy i fizycy, a nawet logicy i matematycy. Tembardziej może postąpić tak estetyk. Wiadomo, że dążenie do zdefinjowania wszystkich pojęć danego systemu prowadzi do kręcenia się w kółko i wiadomo, że nie można zbudować żadnego systemu pojęć, bez jednego choćby zasadniczego twierdzenia, które przyjąć trzeba bez dowodu.

W filozofji i estetyce stworzenie czegoś kompletnie nowego jest prawie niemożliwem. Od wieków jedno i to samo zagadnienie jest formułowane w coraz to inny sposób. Może szkoła psychologistów w filozofji stworzyła względnie nowy pogląd, chociaż według niektórych, korzenie jej sięgają już w system Descartes'a, a może dalej.

Problem Istnienia i problem Piękna, na równi z problemem dobra jest tak stary jak ludzkość myśląca. Chodziłoby o zbudowanie systemu w sposób najdoskonalszy tj. najbardziej ekonomiczny i najprostszy, przy pomocy jak najmniejszej ilości nowotworów pojęciowych, tworząc pojęcia tylko wtedy, gdy są one koniecznie potrzebne i odpowiadają faktycznie jakiejś rzeczywistości.

Dalej chodziłoby o to aby system taki był płodny, to znaczy, żeby miał zdolność pociągania za sobą dalekich konsekwencji i zdolność opisywania nowo zachodzących zjawisk danej sfery. Mam wrażenie że system mój ma te właściwości, o ile zgodzimy się na jego założenia podstawowe. Trudność sformułowania dla mnie polega na tem, że teorje moje są wogóle mało znane, a książki przeważnie nieczytane. Dlatego, nie mogąc tutaj poświęcić się jakiemuś zagadnieniu częściowemu, zaczynać muszę wszystko od początku i przedstawiać w streszczeniu całość dość skomplikowanej teorji.

W filozofji i w estetyce mamy do czynienia zwykle z systemami, które można podzielić na dwie zasadnicze grupy, w związku z dwoistością Istnienia i dwoistością Sztuki. Istnienie jest czasowe i przestrzenne i zależnie od tego, na którą ze stron tej dwoistości będzie położony nacisk, będziemy mieli systemy, bardziej materjalistyczne i bardziej psychologistyczne i witalistyczne. Zaznaczam, że mówię tu bardzo ogólnikowo i, że może istnieć cała gama elementów pośrednich, przyczem monizm psychologiczny Macha, Avenariusa i Corneliusa zajmuje miejsce dość wyjątkowe. W estetyce będziemy mieli dualizm formy i treści i systemy, w których jeden z tych elementów będzie więcej od drugiego uwzględniany, czyli systemy realistyczne i formistyczne. Ponieważ nie można negować żadnego z tych czynników, chodziłoby o stworzenie takiego systemu, któryby zdawał sprawę ze stosunku ich obu i wyznaczał im właściwe miejsce w całości zjawiska sztuki. Tak samo powinna według mnie postępować filozofja. Zaznaczam, że mój system będzie formistyczny. Dojdę do tego przez rozważanie poprzedniego pytania: „co stanowi właściwość wyróżniającą dzieła sztuki od innych przedmiotów i zjawisk, dlaczego istności tak różne jak rzeźby, wiersze, obrazy, utwory muzyczne i sztuki sceniczne określamy wspólnem mianem sztuki". To przyjmujemy narazie jako fakt pierwotny, to znaczy uznajemy, że istności te muszą taką wspólną właściwość posiadać.

Metoda, którą będę się posługiwał będzie robić wrażenie nieco sztucznej. Będę musiał podać przykłady szeregów przedmiotów i zjawisk, które będą przedstawiać się na pierwszy rzut oka dość dziko. (Ciąg dalszy w nrze 9-tym).

S. I. Witkiewicz.

*) Rzecz ta napisana jest w kwietniu 1925 r.

* * *

Radość, szał radości, słońce oświecające wszystko, co jest i będzie boska radość tworzenia! Niema radości poza tworzeniem. Niema ludzi poza twórcami. Wszyscy inni to cienie, które snują się po ziemi, obce życiu. Wszelka radość życia jest radością tworzenia: miłość, genjusz, czyn — płomienie siły zrodzone z jednego ogniska...

Tworzyć w zakresie ciała, czy w zakresie ducha, to wyjść z więzienia ciała, rzucić się w huragan życia, być Tym, który Jest Tworzyć, to zabić śmierć.

Romain Rolland: Jan Krzysztof. t. II.

Bolesław Miciński.

Z PSAŁTERZA SALOMONOWEGO

Niech mnie pocałuje pocałowaniem ust swoich
Albowiem lepsze są miłości niż wino

Imię twoje — różany olej
Dłonie — lilje rozkwitłe w dolinach

O przyjaciółko moja jakaś ty piękna
Usta twoje jako granat pęknięty

Piersi twoje jako dwie gołębice .
Brzuch — blada tarcza księżyca

Wargi twoje jako sznur karmazynu
Plastrem miodu i mlekiem płyną

Ogrodem zamkniętym jesteś moja oblubienico
Szpikanardu szafranu i myrry w różanem świetle księżyca

Powstań wietrze z północy przybądź wietrze ze wschodu
Przewiej ogród mój niech wonności płyną z ogrodu

Wzrost twój podobny palmom
A twoje piersi gronom

Z winnicy w Baalhamon
Którą miał król Salomon

Ale winnica moja którą mam jest przedemną
Niech księżyc różany zgaśnie niech nas owinie ciemność

Balki naszych domów są cedrowe a stropy jodłowe
Pocałuj mnie pocałowaniem twoich ust purpurowych.

Preformacja i epigeneza

W jednej z prac profesora dr. Emila Godlewskiego, tegorocznego laureata nagrody miasta stołecznego Warszawy, w przedmowie spotykamy się z myślą, że embrjologja jest tą dziedziną wiedzy, „w której moc twórcza żywej materji może najjaskrawiej się ujawnia". I czyż można nie uznać słuszności tej myśli? Każda żywa istota podlega ciągłemu łańcuchowi przekształceń i przemian, od chwili poczęcia aż do momentu śmierci, względnie powstania nowej generacji. (Gdy rozród wegetatywny odbywa się przez podział, lub gdy każda z części poprzecinanej dżdżownicy przekształca się w organizm całkowity na mocy regeneracji, to — chociaż organizm macierzysty, jako indywiduum nie istnieje dłużej, a na jego miejsce powstają dwa, lub kilka nowych — czy można mówić o smierci?). Cały łańcuch tych przekształceń oznaczamy mianem rozwoju organizmu. Embrjolog bada ustrój w jego pierwszym, embrjonalnym okresie życia. Wyznaczyć górną granicę tego okresu jest często ogromnie trudno, przyroda nie zna bowiem wyraźnych linij demarkacyjnych i to jest jedną z istotnych cech życia. W tym bowiem okresie można obserwować największe zmiany morfologiczne i funkcjonalne organizmu Dzięki pracom teratogenetycznym wiemy dzisiaj, że t. zw. rozwój normalny jest tylko schematem, któremu rzeczywistość nie odpowiada prawie nigdy, że każda żywa istota kroczy swoją własną i oryginalną drogą. Badaniom anatomo-porównawczym, tak ściśle z embrjologją związanym, zawdzięczamy tak ważne dla biologji pojęcia, jak konwergencja, analogja i homologja (trzeba podkreślić, że Harvey był jednym z pierwszych twórców pojęcia homologji); zresztą to ostatnie pojęcie przeżywa dzisiaj silny kryzys. Badania w tych dziedzinach są podstawowe dla teoryj ewolucjonistycznych, które—nawiasem mówiąc—teraz tak, jak i samo pojęcie ewolucji, ostrej podlegają krytyce. Wreszcie najmłodsza gałąź embrjologji t. j. mechanika rozwoju, pobudziła nanowo umysł ludzki do gorliwego rozważania, czy życie można pojmować jako zjawisko jedynie fizyko-chemiczne. Jednem z pierwszych zagadnień, które wyłaniają się przed embrjologiem jest to: czy rozwój zarodka jest tworzeniem się czegoś de novo, czy substancja ożywiona, która była u początku rozwoju może być uważana za izotropową, prościej zbudowaną, mniej zróżniczkowaną, niż materja ożywiona w późniejszych okresach rozwoju embrjonalnego: czy też w życiu embrjonalnem naprawdę nic się nie tworzy nowego, a cały rozwój jest tylko rozwinięciem, ewolucją zgóry już preformowanych zawiązków? Zagadnienie to absorbowało umysły przyrodników od starożytności, jednak należycie postawionem mogło zostać dopiero wtedy, gdy mikroskop pozwolił na odnalezienie istotnych elementów płciowych, czyli gamet i na trochę głębsze wejrzenie w proces rozwojowy zarodka. W XVII i XVIII wieku powstaje i panuje teorja preformacji, która głosi, że czas życia embrjonalnego jest okresem rozwoju zwierzęcia delineowanego już w jaju, lub plemniku. Pogląd, który poparł swym autorytetem Leibnitz (czyż mógł zresztą twórca monadologji nie bronić teorji preformacji?), wydaje nam się dzisiaj bardzo **naiwnym.** Np. niektórzy animalkuliści próbowali tłumaczyć powstawanie anomalij i potworności skutkami rzekomych walk, jakie odbywały zwierzątka-miniaturki w drodze do jaja. Trzeba jednak pamiętać, że plemniki zostały wykryte dopiero w roku 1677 przez studenta L. Hamm'a i zbadane bliżej przez jego nauczyciela Leeuwenhock'a, a jaja zwierząt ssących w 1827 roku przez C. E. von Baer'a. W 1759 roku przeciwstawił się teorji preformacji C. F. Wolff. Dopiero zaś C. E. von Baer ugruntował na długi dosyć okres czasu teorję epigenezy. Stara teorja preformacji odżyła jednak niedawno w postaci t. zw. mozaikowej budowy jaja.

Teraz zagadnienie formułuje się w sposób następujący: albo jajo jest komórką zbudowaną anizotropowo (cząstki materjalne, różniące się między sobą tak właściwościami chemicznemi, jak fizycznemi, fizjologicznemi i ułożeniem przestrzennem wewnątrz jaja, byłyby dzięki temu zgóry determinowane do utworzenia pewnych ściśle określonych części zarodka, względnie organizmu, moment zaś zapłodnienia byłby nietylko wyzwoleniem energji twórczej tych zawiązków, ale i chwilą ostatecznego ugrupowania się ich w jaju) — albo też jajo ma budowę izotropową (a dostrzegane w niem różnice strukturalne mają znaczenie tylko cytologiczne) i obdarzone jest pewnemi właściwościami twórczemi, które w toku rozwoju stwarzają coraz nowe momenty o znaczeniu morfogenetycznem. Zagadnienie to jest czysto biologicznem, jedyną metodą rozwiązania go jest metoda eksperymentalna i obserwacja.

Od czasu klasycznych prac W. Rouxa w tym zakresie prowadzone były staranne, badania przez O. Hertwiga, Morgana, Bracheta, Schultz'ego, Wetzel'a, Driescha, Fischela, Boreziego i innych. W świetle tych badań widzimy, że preformacja, czyli ewolucja i epigeneza, które dawniej były antytezami, łączą się w jedno zjawisko.

Używając terminologji Driescha można powiedzieć, że rozwój jest ewolucją epigenetyczną. Pogląd ten potwierdza pośrednio teratogenja i zjawiska regeneracji, ponieważ gdyby rozwój embrjonalny był tylko pracą mozaikową, to należałoby wrócić do teorji wstrzymania rozwoju Meckel'a i E. G. Saint-Hilain'a i niemożliwem byłoby wytłumaczenie wielu zjawisk regeneracji. Musimy więc przyjąć, że każdy blastomer i jajo samo, są preformowane do utworzenia pewnych, ściśle oznaczonych narządów powiązanych ze sobą w sposób określony, jednocześnie jednak obdarzone są pewną zdolnością regulacyjną. Każdy blastomer jak i każda część jaja, posiada pewne znaczenie perspektywne i pewną moc perspektywną.

Wtedy tylko pojęcia się tu będą mniej więcej z sobą pokrywały, gdy rozwój biegnie o wiele szybciej niż regulacja. Gdy więc pewna grupa komórek embrjonalnych przeznaczona do utworzenia pewnej części organizmu, rozwinie się w harmonijną całość ustroju embrjonalnego, to tę grupę komórek, używając terminologji Driescha, nazwiemy harmonijnym systemem ekwipotencjalnym.

Jerzy Gallera.

Problem pracy u Cieszkowskiego

Tworzenie się nowej polskiej rzeczywistości po odzyskaniu niepodległego bytu— i to w obliczu rozpadania się wczorajszej cywilizacji europejskiej — postuluje konieczność gruntownego przewartościowania pojęć, normujących nasz dotychczasowy stosunek do życia. Zachodzi jednakowoż pytanie, jak dokonać tego przewartościowania, by ująć w nową, a społecznie celową formę odwieczną treść spontanicznych procesów życia zbiorowego.

Ponieważ celem naszych rozważań jest rzeczywistość **polska** t. j. rzeczywistość środowiska, które jest nam bezpośrednio dane — słusznem będzie szukanie odpowiedzi na powyższe pytanie nie gdzieindziej, jak w naszej literaturze filozoficznej, wyrażającej polski pogląd na świat możliwie najwszechstronniej i najdoskonalej.

W toku tych poszukiwań natrafimy na szereg niespodzianek.

Jedną z nich jest Cieszkowski, który przy bliższem poznaniu wydaje się dziwnie aktualny; z zastrzeżeniem, że uwzględnić należy odmienny sposób wypowiedzi wiek temu a dziś. Treść światopoglądu Cieszkowskiego ma dużą wartość i w dobie dzisiejszej, a może raczej **dopiero dziś** staje się aktualna, szczególnie w zagadnieniach filozofji społecznej, którą u nas zapoczątkował i rozwinął. Przy przystępowaniu do „Ojcze Nasz" należy — kogo to razi — nie zwracać uwagi na styl wybitnie biblijny i niejednokrotnie rozwlekły.

Cieszkowski znalazł jedynie właściwy punkt wyjścia przy badaniu zagadnień, mających większą rozpiętość niż poszczególne wycinki życia, obejmujących całokształt przemian i zjawisk kultury — przez badanie **człowieka.** Ułatwieniem bowiem badań, bramą wypadową jest mniej lub więcej doskonałe osiągnięcie i zrozumienie człowieka. **Panująca** w danym okresie i danej przestrzeni filozofja życia, przenikająca działanie człowieka, zarówno **wypływa** z otaczających go warunków, jak **wpływa** na nie w nieustannym dynamicznym procesie.

Przy określaniu cech charakterystycznych, wyłaniających się na czoło dziejowych wypadków cywilizacji europejskiej, postępuje Cieszkowski śladem Hegla, a z polskich towarzyszy — Wrońskiego. Rozwija jednak swoje poglądy w sposób odrębny i samodzielny, ujmując zagadnienie jak je zwykł ujmować człowiek, szukający gorączkowo i za wszelką cenę rozwiązania zagadki otaczającego go życia i znalezienia świadomego rzutu w przyszłość — cecha znamienna dla polskiej publicystyki wieku XIX.

Dotychczasowe dzieje ludzkości — w ujęciu autora „Ojcze Nasz" — dzielą się na dwie epoki; trzecia nadchodzi wielkiemi krokami i trzeba się już do niej przygotować.

1) **Człowiek natury** — 2) **człowiek myśli i abstrakcji** — 3) **człowiek świadomego czynu** — oto rysy zasadnicze trzech epok.

„W tych to trzech kierunkach POGRĄŻENIA, ODERWANIA i SKOJARZENIA, w tych to trzech stanowiskach Adama, Chrystusa i Parakleta, w trzech nareszcie bożych imionach Ojca, Syna i Ducha świętego zawiera się cała historja ludzkości" T. I. str. 38. „Ojcze Nasz".

POGRĄŻENIE — w naturze: **jest jak jest.** Człowiek żyje jako cząstka natury. Żyje w stanie społecznym **nieświadomie,** działa instynktem społecznym, nieuorganizowanym przez rozum. Człowiek żyje — bo żyje. **Świat bytu.**

ODERWANIE — od pierwiastków materjalnych, racjonalnych (tak jakgdyby one istniały odrębnie od immaterjalnych, irracjonalnych). Epoka chrześcijaństwa. Świat myśli. Człowiek żyje dla bytu **zaziemskiego.**

Pod względem społecznym konsekwencje są następujące: **indywidualizowanie masy,** jaką przedstawiało społeczeństwo starożytne, nie znające praw jednostki. W wyniku poglądu na świat jako środek do zaziemskiego celu (Królestwo Boże **poza** światem poznawalnym zmysłami) — zaniedbanie gospodarki świata zmysłoweg.

SKOJARZENIE. — Epoka przyszłości. Synteza następujących elementów dwu epok poprzednich: 1) z pierwszej epoki — **wartość świata poznawalnego i społeczeństwa, zbiorowości),** — 2) z drugiej — wartość **jednostki i pierwiastków irracjonalnych.** Świat czynu — człowiek żyje, aby **tworzyć,** czyli żyć świadomie. Zindywidualizowany w epoce myśli, wraca do stanu społecznego epoki bytu — ale w stan bytu **świadomego.**

Do tego sformułowania Cieszkowskiego, b. pobieżnie zresztą naszkicowanego, dodać należy sposób dochodzenia do pewnych pojęć: odkrywanie cech sprzecznych przez djalektykę, i łączenie cech różnych, uzupełniających się przez syntezę.

Podział powyższy jest niewątpliwie bardzo uproszczony i szablonowy i nie uwzględnia różnic psychiki społeczeństw w różnej rozpiętości czasu i przestrzeni, ani wpływu czynników zewnętrznych, choćby ekonomicznych itp. Cieszkowski popada przytem w błąd przez siebie zwalczany: zajmuje bezwiednie stanowisko tezy, nie antezy: psychika człowieka decyduje **wyłącznie** o warunkach życia. Stanowisko to byłoby słuszne z poprawką, że psychika (używając etymologicznego stylu Cieszkowskiego), to „wpływ i wypływ" zarazem.

Nie o te **braki jednak chodzi.** Trudno nie zbaczając i nie rozpraszając uwagi ująć całość twórczości filozoficznej Cieszkowskiego, ponieważ zaś obchodzi nas przedewszystkiem nawiązanie do aktualnych **problemów społecznych,** ograniczę się do kwestyj, dotyczących **ich bezpośrednio.** To też pominąć trzeba badanie słuszności i niesłuszności **tez o epokach minionych,** o stanowisku kościoła i wiernych itp. Cieszkowski stara się utworzyć **typ człowieka** przyszłości i **szkic ustroju społeczeństwa** z takich ludzi **złożonego.**

Nie był według niego typem takim człowiek przeniknięty psychiką indywidualizmu teologiczno - chrześcijańskiego, traktujący świat jako przedmowę do rozdziału, który z nią nic wspólnego nie posiada, człowiek o zwichniętym i charytatywnie wypaczonym **instynkcie społecznym;** ani człowiek, który w reakcji wobec takiego stanowiska, rozdzielającego matematycznie niemal cele na racjonalne i irracjonalne, negował te ostatnie.

Człowiek szedł **obok** życia — nieświadomie, albo **pomimo** życia — **negatywnie,** tymczasem powinien on w przyszłości iść świadomie **poprzez** życie, w niem mieć cel bezpośredni. Wtedy dopiero znajduje podstawę do tworzenia **wielkich** wartości społecznych i czynów, oddziaływujących bezpośrednio na zbiorowość. Stąd nadzwyczaj silne podkreślenie świadomości, woli i czynu. Człowiek idzie poprzez życie jako jednostka, każdem swojem działaniem wpływająca w pewnej mierze na zewnętrzność, na zbiorowość. **Życiową funkcją** człowieka jest działanie, dotychczas ujmowane jako coś podrzędnego, lub jako środek jedynie i **przymus,** smutna **konieczność.** Stąd powszechna dotąd jeszcze niechęć do pracy jako dopustu bożego i szukanie ustroju, w którym by praca została zredukowana do minimum.

To stanowisko potępia Cieszkowski bardzo zdecydowanie jako niemoralne. Jest ono zresztą dziś jeszcze popularyzowane zarówno przez tych, którzy głoszą przyjście Królestwa po śmierci, gdzie będzie spoczynek wieczny, jak i tych, którzy tego rodzaju królestwo (republikę) pragną sprowadzić na ziemię. Cieszkowski stwierdza, że praca jest przejawem życia, jest życiem, a zatem dalej wypływa stąd postulat: człowiek winien iść poprzez życie jako człowiek **twórczy,** pełen woli i przeświadczenia o możności świadomego przekształcenia otaczającego go świata swym czynem i swoją postawą.

Człowiek przyszłości jest człowiekiem **społecznym;** wynika to z ewolucji, która doprowadza do coraz większego powiązania zbiorowości ludzkiej. Dlatego znalezienie pewnych podstaw moralnych w życiu nowego człowieka jest zagadnieniem tak bardzo Cieszkowskiego niepokojącem. Dotychczasowa moralność jest dlań niewystarczająca, jest nazbyt **indywidualna.**

Jeśli do tego dodamy konkluzję Cieszkowskiego, że w przekształceniu struktury społecznej nie może chodzić o dążenie do **statycznego** ustroju, teoretycznie doskonałego, praktycznie nieosiągalnego na stałe, a jedynie do ustroju, w którym nieprzewidziane zgóry ewolucje mogą się dokonywać w ramach społeczeństwa zorganizowanego **dynamicznie,** jako normalne przemiany strukturalne, — nie trudno będzie stwierdzić, że w konsekwencji tych poglądów zbliża się Cieszkowski — aczkolwiek z innych wyszedł założeń — do niektórych konkluzyj Sorela i nieraz zbiega się z Brzozowskim i Żeromskim, których cechuje postawienie na piedestale nowej ludzkości **pracy jako jedynego** miernika istotnej wartości indywidualnej i społecznej człowieka. Nawiasowo dodać można, że to psychologiczne ujęcie pracy wpłynęło na stanowisko syndykalizmu sorelowskiego, który stwierdza, że nie wystarcza **sprowadzenie** (według Sorela **poniżenie)** pracy do schematu — **płaca za pracę.**

W gospodarstwie **społecznem** wartością jest **czyn.** Stąd postulat dalszy: wobec tego praca **musi stać się** miernikiem wartości. Jest to imperatyw wywołujący żądanie ustroju w **którym o człowieku** decyduje praca, pojęta wszechstronnie jako całość **wysiłków fizycznych** i psychicznych, i w którym — w **konsekwencji** — praca jest **celowa.** Celowość pracy jest warunkiem dyspozycji sił psychicznych w stosunku do niej (aby nie było zjawisk doby dzisiejszej, jak praca wytwórcza produktów idących z braku zbytu na zagładę). Ustrój, w **którym** dopuszcza się masowo pracę niecelową — jest z tego punktu widzenia **niemoralny.**

•

Dziwne są koleje myśli ludzkiej. Raz wypowiedziana, musi przejść nieraz wiele etapów, zapominana, zanim trafi na swą glebę, na swój czas. Aby istotnie uderzyć w strunę właściwą, myśl podobna tej, którą wysnuł dociekliwy umysł Cieszkowskiego, musiała podejść do ludzkości od strony **ekonomicznej,** aby nie narazić się na zbagatelizowanie, nieraz śmieszność, najczęściej niezrozumienie, lub... wygnanie na indeks, jak to się stało z Cieszkowskim.

Dopiero dziś w pełni rozwijać się poczyna myśl, że o przemianie struktury społecznej **nie decyduje** wyłącznie zespół składników zewnętrznych, lecz w pierwszym rzędzie przemiana człowieka; a zatem — następuje konieczność zmiany systemu wychowania w domu, szkole itp. a w konsekwencji:

1) zmiana nastawienia do **pracy,** która w społeczeństwie przyszłości będzie decydowała jako **miara wartości;**

2) stworzenie człowieka **rozumu** (nie **rozsądku!),** działającego w ustroju, który dopuszcza swobodną **dynamikę** przemian w karbach i granicach **rozumem** przewidzianych.

Tak odrębne podchodzenie do problemu pracy stało się przyczyną odmiennej treści, przypisywanej przez różne prądy utartemu obecnie słownictwu „świat pracy". Ludzie myślący — według określenia Cieszkowskiego — kategorjami epoki drugiej (antyteza, odcięcie kwestyj materjalnych od immaterjalnych) pojmują pracę jako krzywdę, a zatem „świat pracy" to dla nich masa niewolników, dążących do wyzwolenia się z niewoli pracy (psychika **destrukcyjna, negatywna).**

Według „epoki trzeciej" — świat pracy: to ludzie jedynie pełnowartościowi, którzy po rozbudzeniu w sobie świadomości i poczucia jedynotwórczej wartości pracy — niepowstrzymanym prądem przewalą upadające mury mijającej epoki — ale uczynią to konstruktywnie, gdyż tego wymaga najwyższa, nowa moralność — **moralność człowieka czynu, człowieka twórczego** *). **Kazimierz Zieliński.**

*) Ze względu na ważność poruszonego tu problemu, redakcja opatruje powyższy artykuł komentarzem (patrz str. 4-ta) p. t. „Komentarz do artykułu „Problem pracy u Cieszkowskiego".

Jerzy Braun.

MODLITWA CZŁOWIEKA

Wciąż jestem małą kuklą i w oczach mi ciemno.
Spójrz na mnie Ojcze Wielki, zmiłuj się nademną.

Czemu gnasz mnie przez lasy dni moich i zdarzeń.
Strachem grożą mi zewsząd wszystkie Twoje twarze.

Z za drzew godzi wciąż we mnie ogromne Twe oko.
Kłamią głupi prorocy, że jesteś wysoko.

Poza sobą Cię czuję, mrozem w krzyżach smagasz.
Wieczna jest Twa bezdenność i wieczna przewaga.

W lesie Twoim wichr wyje podgwiezdny i smoczy.
Gorycz nędzy odwiecznej wyżera mi oczy.

Krzyczą sowy w ciemnościach i węże się śmieją.
Rzadko potok wśród gąszczu zaszemrze nadzieją.

Rzadko ręka Twa błyśnie przed nocą stubramną
i głos Twój mnie ostrzeże miłośny: Pójdź za mną.

Przecież dawno już idę, miljard lat już mija
Jakaż droga się straszna pozamną przewija.

Przecież w gościńce moje krwi wsiąkło jezioro.
Wieki męką nabrzmiały, w pamięci mej gorą.

Na wozach, konno, pieszo, koczując bez przerwy
jak wąż usłałem gwiazdy zrzuconemi ścierwy.

W ustach moich dziś jeszcze wyczuwam smak zbrodni,
żądz tysiąc gorze we mnie, jak tysiąc pochodni.

Dość już chyba rozpaczy i trwogi i złości.
Wciąż mi we mgle umykasz, jak wicher w ciemności.

I choć rosnę myślami w tęsknoty rozpędzie,
mały jestem jak zwierzę, nie mogę być wszędzie.

Choć skrzydłami trzepocę o krawędź otchłani,
ciągle jestem jak kropla, gdyś Ty jest jak granit.

Już zda mi się, żem syty, żem posiadł Twe siły,
spoglądam w bezdeń Twoją gwiazdami opiły,

lecz Ty mnie w piekło nędzy odtrącasz na nowo
i znów się każesz wspinać po Żywot, po Słowo

I ja co noszę w mózgu esencję wszechświata,
ja co mam boską przeszłość i boski żar w gnatach,

opięty w klatkę ciała, w maleńkość owada,
jak zwierzę się rozmnażam i jak zwierzę jadam,

jak jaszczurka się czołgam po gościńcach ziemi
patrząc, jak dom mój Boży jaśnieje nad niemi

i żebrzę u bram jego i jęczę o litość:
Niechże się nad ubóstwem zmiłuje obfitość.

Niechże się nad bolesnym użali radosny
i da pić pragnącemu z kwiatów Wiecznej Wiosny.

Lecz dom milczy niebiesko, przymknięta powieka.
Mrugają w nocy gwiazdy, sygnały z daleka.

Wciąż jestem małą kuklą i w oczach mi ciemno.
Spójrz na mnie Ojcze Wielki, zmiłuj się nademną.

Przegląd Prasy

NOWY IDEAŁ.

W „Gazecie Polskiej“ z dn. 14 czerwca b r. Wojciech Stpiczyński w artykule „Zadanie dnia dzisiejszego i zarys jutra“ omawia proces zmierzchu epoki „prosperity“, jaką przeżywała biała rasa w drugiej połowie XIX-go i pierwszych latach XX-go wieku.

„Niepokój o jutro — oto co dręczy i łamie i ku rozpaczy popycha ludzkość cywilizowanego świata“.

„Co będzie jutro? — do czego zmierzamy poprzez niekończące się obszary udręki? — na jakim brzegu wylądujemy po obłędnej wędrówce przez wzburzony ocean kryzysów? — oto pytania, na które wszyscy łakną i nikt nie otrzymuje odpowiedzi“.

Autor artykułu wyraża przekonanie, że okres użycia, powodzeń materjalnych, powszechnej pomyślności gospodarczej — przeminął bezpowrotnie. Ludzkość powinna sobie wybić z głowy na nadzieję „że lada dzień powróci era wzbogacania się i słodkiej rozpusty“.

„Człowiek dzisiejszy stanął wobec zagadnienia: w imię czego mam żyć i pracować, ponosić ofiary, znosić trudy mozolnej i mało obiecującej walki o byt? Gdzie szukać mam szczęścia, gdy mi odjęto ideał szczęścia dotychczasowy, **ideał materjalny?**“

W tem miejscu rozważania autora wkraczają na tory znamiennych i bardzo głębokich konkluzyj.

„Oto problem... W najkrótszych słowach ujęty polega on na pilnej potrzebie stworzenia nadbudowy filozoficznej dla nowych warunków życia. A zatem na wytworzeniu nowego kodeksu etycznego, a więc i obyczaju nowego“.

„Kierunkowo oznacza on zwrot zainteresowań i przeżyć ludzkości **w dziedzinę ducha,** konieczność skierowania zamiłowań od utraconych bogactw materjalnych ku bogactwom duchowym, wyrażonym w **myśli filozoficznej** i kulturze“.

Poglądy nasze są tutaj zgodne z poglądem autora. Dwukrotnie już w artykułach wstępnych „Zetu“ wyraziliśmy przekonanie, że na całej przestrzeni epoki współczesnej odbywa się olbrzymi proces przesuwania się wagi z dwu panujących dotąd ideałów: dobrobytu materjalnego i potęgi militarnej — na płaszczyznę ducha (czyli samorzutnego rozumu) ku ideałowi **człowieczeństwa** samego w sobie. Proces ten dzieje się w tak wielkich wymiarach, że wymyka się uwadze krótkowzrocznych obserwatorów; dostrzegą go jednak niechybnie ludzie, którzy umieją syntetycznie myśleć.

Warto zacytować dalszy tok rozważań Wojciecha Stpiczyńskiego.

„Ktokolwiek pragnąłby problem jutra rozwiązywać od strony mechaniczno-ustrojowej, musi ponieść klęskę. Albowiem sprawa leży **w treści,** nie w formie. I właśnie dopiero z treści wynikną wskazania dla formy, a nie odwrotnie“.

„Stąd wniosek, że zadaniem dnia dzisiejszego, celem dla wysiłków myśli twórczej jest poszukiwanie nowego kodeksu etycznego życia jednostki i zbiorowości... Ponieważ nowe warunki życia nie ulegną już zapewne wielkim zmianom, musi ulec zmianie **stosunek do nich człowieka.** A to przyjdzie wraz z odnalezieniem powołania życiowego tam, gdzie ono jedynie i zawsze znalezione naprawdę być mogło — **w dziedzinie dóbr moralnych, na bogatych obszarach ducha**“.

Życzyć sobie tylko należy, by wielu zrozumiało tę myśl i by w Polsce zwrot ku tym najwyższym wartościom człowieczeństwa, jedynie godnym nietylko zrównoważyć, ale i wypłacić z nadwyżką porażki materjalne — rozpoczął się najwcześniej, a został pokierowany świadomie i celowo.

*) Podkreślenia nasze.

„WIADOMOŚCI SEKSUALNE“

Nr. 25 „Wiadomości Literackich“ robi wrażenie wesołe, lecz smutne. Naogóle nie mamy czasu zajmować się tem czasopismem, mamy bowiem wiele ważniejszych rzeczy do przemyślenia. Ale przejść do porządku dziennego nad powyższym okazem byłoby pominięciem rzadkiej okazji do t. zw. „śmiechu przez łzy“.

Można się użalać nad dolą słowa drukowanego w Polsce, nad trudnemi warunkami wydawniczemi, które zmuszają zasobne nawet przedsiębiorstwa do zamykania czasopism literackich (parz „Kultura“). Mimo to łapanie czytelników za nogi i za głowę, t. j. za wszelką cenę, nie powinno się odbywać tak nieprzyzwoicie. Nie każde pismo literackie musi być placówką ideową; niechaj prosperują i takie, u których względy handlowe są motywem rozstrzygającym. (Ha trudno — takie czasy!) Ale spekulacja tego rodzaju powinna się ograniczyć do paru conajwyżej „pieprzów“, koniecznych do zdobycia zdemoralizowanego przez prasę brukową czytelnika. Taka lawina kryminalistyczno - seksualna, jaka zwaliła się na głowy społeczeństwa polskiego ze szpalt n-ru 25-go „Wiad. Lit.“, jest doprawdy aż nazbyt miażdżąca.

2 kolumny procesu Gorgonowej („Siekiera, koszula, świeca“!), „Credo hochstaplera“ (Ciunkiewiczowa, Dorożyński, upiór z Düsseldorfu i to wszystko na temat Villona), „Organizacja erotyzmu“, „Dziki wiek“ (problem uświadamiania seksualnego młodych chłopczyków), „Miłość w więzieniu“ (horrendum!). Nie koniec na tem — trudno jednym tchem wypowiedzieć to wszystko. Dalej „Lekarze a świadome macierzyństwo“ (zagadnienie, „które w chwili obecnej pasjonuje świat“), „Światowa Liga reformy seksualnej“, listy w sprawie poradni świadomego macierzyństwa — a wreszcie „cymes“ p. t. „Psychologja“, bezsensowny artykulik, roztrząsający arcyważny problemat, co może wyniknąć, gdy ktoś na wizycie musi opuścić towarzystwo z powodu naglącej potrzeby fizjologicznej. Pod tą niby-anegdotą, zmierzającą perfidnie do prostodusznego wyjaśnienia „niepokojów metafizycznych“ figuruje cyniczny podpis „Boy-mędrzec“. (Należałoby raz już skończyć z tą fikcją „Boya-mędrca“, bo wprawdzie Boy jest, ale mędrca nie widzimy wcale).

Obłudna troska o zdrowie moralne społeczeństwa, zdaje się nie widzieć, że rozhisteryzowane snobki warszawskie „lecą“ na całe to „życie świadome“, w widoku podniet pornograficzno - seksualnych. Zalew Niemiec pornograficznemi wydawnictwami, miesięcznikami i odczytami — odbywa się pod tą samą pseudo - naukową maską, którą przywdziewa p. Krzywicka, której proces Dorożyńskiego nie nasunął żadnych innych refleksyj prócz problemu „jak ten zdrowy chłopak spędzi te osiem lat więzienia bez zaspokojenia płciowego“.

„Śmiech pusty“, „a potem litość i trwogo“. Biedne móżdżki ludzkie, jakże niezdarnie błądzą w labiryncie nierozwiązalnych zagadek życia. Jak bardzo „naukowo“ męczą się. I jak się śmiesznie łudzą, że tkwiąc po uszy w jednym małym, błotnistym zaułku życia — można zrobić coś więcej dla mechanizmu świata, jak tylko **popsuć go,** zanim się nie opanuje rozumem całego systemu jego kół, trybów i sprężyn.

Usiłujemy brać serjo każdy z poszczególnych wyczynów „naukowych“, jakie pojawiają się na łamach naszych grajdołkowych „Wiadomości Seksualnych“; ufajmy, że autorzy ich, każdy z osobna, mają uczciwe intencje. Tem niemniej musimy stwierdzić, że wszystko to zebrane na kupę, jest nazbyt rażące i świadczy, że pismo „inkarnowanego chochoła“ p. Gr. stacza się po równi pochyłej w tempie przyśpieszonem. Ludzie opamiętajcie się! Co wolno „Tajnemu Detektywowi“, to nie wam, na Boga!

„Strach“ Afinogenowa

Teatr Ateneum. „Strach“ A. Afinogenowa. Sztuka w 4 aktach (9 odsłonach). Reżyserja **Z. Chmielewski;** inscenizacja **Ivo Gall;** przekład: **H. Pilichowska.**

Zasadniczym powodem nieporozumień wynikających nieustannie między krytyką a społeczeństwem jest brak powszechnego systematu kryterjów estetycznych. Pierwszym obowiązkiem recenzenta jest wskazanie metody na zasadzie której prowadzić będzie analizę jakiegokolwiek dzieła Sztuki. Inne są wymagania krytyka - marxisty, inne krytyka uznającego celowość własną Sztuki, siłą rzeczy opinje ich muszą być krańcowo sprzeczne, jeśli więc na wstępie nie sprecyzują jasno swych wymagań, przyczynią się tylko do pogłębienia rosnącego nieustannie chaosu pojęciowego społeczeństwa które na tle **powszechnego zaniku poczucia jedności** swego „ja“, leżącego u podstawy uczuć **metafizycznych, będących źródłem Sztuki,** coraz bardziej się od niej oddala.

Krytyk uznający w całej rozciągłości teorję Czystej Formy w teatrze, a zmuszony do omawiania dzieł realistycznych, które całkowicie niemal opanowały naszą scenę, znajduje się w specjalnie przykrej sytuacji.

Nie mogąc jednem pociągnięciem pióra przekreślić wielkiego niewątpliwie dorobku kulturalnego, (a tem samem wycofać się z z czynnej pracy krytycznej) siłą rzeczy zmuszonym jest do kompromisu, to jest do rozpatrywania **realistycznego** dzieła Sztuki obarczonego balastem akcji, pod ściśle **formalnym** katem widzenia.

Jeśli chodzi o nawskroś realistyczną sztukę A. Afinogenowa, wystawioną ostatnio w teatrze „Ateneum“, sztukę, genezy której szukać należy nie w metafizycznej grozie istnienia, ale w chęci programowego lansowania ściśle sprecyzowanego poglądu politycznego, to raczej głos powinien zabrać krytyk szukający w dziele sztuki walorów społecznych. Ponieważ jednak „Strach“ dzięki swej ciekawej architektonice zawiera wartości dające możność niezwykle ciekawych konstrukcyj formalnych, dokonywanych przez reżysera, inscenizatora i aktorów, postaram się krótko omówić inscenizację tej sztuki.

Znaznaczam zgóry, że poprzestanę jedynie na rzuceniu kilku uwag, nie mogąc ze względu na szczupłość miejsce wyczerpać wszystkich problemów jakie nasuwa to interesujące widowisko.

Jeżeli o grze p. Chmielewskiego możemy powiedzieć, że stała na **najwyższych szczytach aktorskiego kunsztu,** to co do reżyserji jego będziemy musieli wysunąć parę zastrzeżeń, dotyczących jednak (i to w większej mierze), inscenizatora p. Ivo Galla.

Zasadniczym problemem, na którym A. Afinogenow rozbudował swoją sztukę, nie jest bynajmniej problem słuszności „teorji impulsów“ wysnutej przez prof. Borodina, lecz walka **dwuch światów:** ginącego (i to słusznie zdaniem autora) świata „byłej inteligencji“, i idącego świata „wydwiżeńców“ — bolszewików.

Nie wdając się narazie z autorem w polemikę o słuszność jego poglądów społecznych, nie możemy zaprzeczyć, że problemat walki dwuch światów urastający w sztuce Afinogenowa w każdym drobiazgu do rozmiarów symbolicznych (np. bolszewiczka Makarowa otwierająca okno w dusznym pokoju zamieszkałym przez rodzinę „inteligentów“) zasługuje na szersze ramy, niż te, jakie widzieliśmy w teatrze „Ateneum“.

Inscenizacja Ivo Galla, zamykając gigantyczny problemat walki w ściany na wpół realistycznie potraktowanego pokoju, ścieśniła wymiary problematu do spraw „pokojowych“, osobistych, przesuwając uwagę widza od zasadniczego konfliktu, do szeregu konfliktów poszczególnych, nie wiążących się wskutek tego z pionem Sztuki, ale stanowiących (niestety!) akcje zamknięte, akcje — same w sobie (stosunek syna do matki, męża do żony, i t. d., i t. d.).

Architektura sztuki winna być współmierna z budową sceny. Sądzę, że gdyby na środku sceny ustawiono podest stanowiący **oś główną** a będący terenem walki, podest zajmowany w szczytowych chwilach powodzenia (stosownie do akcji) przez jedną z walczących stron, a boczne plany sceniczne w miarę możności (szczególnie w scenach zespołowych) obstawiano skoncentrowanemi obozami zwolenników profesora i „wydwiżeńców“, stworzonoby ramy odpowiednie dla wielkości problematu.

Jeżeli na początku sztuki w skład obozu zwolenników prof. Borodina wchodzą: Kastalskij, Bobrow, Wargasow, Żacharow, Wala i Amalja Karłowna, a w skład „wydwiżeńców“: Makarowa, Klara, Cechawoj Kimbajew i Natasza, to w miarę rozwoju akcji następowałyby przegrupowania **formalne** polegające na przekroczeniu demarkacyjnej linji osi głównej, wnosząc do tekstu ożywionego znakomitą grą aktorów, efekt nawskroś plastyczny (Bobrow przechodzi do obozu „wydwiżeńców“, Cechawoj do obozu profesora). Ekspresję sceniczną podniosłyby wybitnie **bryły geometryczne** (zamiast ścian i szaf bibljotecznych) spiętrzające się i opadające stosownie do crescenda i decrescenda dynamiki. **Oprawa sceniczna** musi być **rzeczą żywą, podlegającą** nieustannej **zmianie w miarę** rozwoju **akcji,** a nie martwą ramą. Przy zastosowaniu brył geometrycznych, rozrzuconych chaotycznie, a tężejących stopniowo w ład i celowość, scena sprzątania pokoju Cechawoja przez Makarową nabrałaby akcentów głębokich i logicznie ugruntowanych. W inscenizacji Ivo Galla wybijała się znakomita oprawa sceniczna obrazu 7-mego, zamkniętego w dwie koncentracyjne linje.

Największym atutem teatru „Ateneum“, który jest dziś najpoważniejszą bodaj w Polsce placówką teatralną to znakomita wprost gra aktorów. Nie sposób omówić z osobna każdej kreacji, poprzestanę więc na wymienieniu członków zespołu biorących udział w sztuce Afinogenowa. Oto ich nazwiska: **pp. Buczyńska, Daszyńska, Jaraczówną, Lachowska, Mara Ferzanowska, Chmielewski, Daniłowicz, Dziewoński, Malinowski, Zawieyski, Zawistowski, Żeleński i Żurowski.**

Tak członkom zespołu, jak i dyrekcji teatru „Ateneum“ należy się ze strony społeczeństwa najwyższe uznanie za bohaterską wręcz pracę prowadzoną wśród najcięższych warunków — często — przed pustą widownią.

Bolesław Miciński.

Komentarz

do art. „Problem pracy u Cieszkowskiego“

Artykuł Kazimierza Zielińskiego porusza niezmiernie ważny i aktualny dzisiaj problem nowego **człowieka,** jego struktury duchowej i ideałów życiowych. Ponieważ kształtująca się dziś w Polsce t. zw. ideologja świata pracy ulega niepożądanym fluktuacjom i wypaczeniom — uważamy za stosowne dla uniknięcia nieporozumień — zaopatrzyć art. Zielińskiego następującym komentarzem:

1) przywrócenie godności **pracy,** a tem samem wysunięcie problemu konsolidacji świata pracy — jest tylko etapem przejściowym w wychowaniu nowego człowieka, którego godłem winien być: rozum twórczy;

2) przypisywanie Cieszkowskiemu antycypowania współczesnej ideologji świata pracy, jest poniekąd zaanektowaniem jego filozofji na rzecz radykalnego ruchu społecznego (demokratyczny syndykalizm), mylnie uważającego Pracę za miernik człowieczeństwa i fundament nowego ładu **moralnego;**

3) Era Parakleta, podług Cieszkowskiego, to nie era ludzkości pracy, lecz ludzkości i **czynu twórczego;** utożsamianie tych dwu pojęć, pozornie niewinne może mieć groźne następstwa natury społeczno politycznej;

4) niewątpliwie praca jest miernikiem wartości w dziedzinie życia gospodarczego, fizycznego, nie jest nim natomiast w dziedzinie moralnej, a więc życia duchowego, gdzie miernikiem człowieczeństwa może być tylko rozum i jego wyraz: czyn twórczy.

Zagadnienie to poruszymy w artykule wstępnym nru 8-go „Zet“.

Redakcja.

Popis szkoły dramatycznej

W sobotę dn. 25.VI. br. odbył się w Teatrze Nowym popis III-ego kursu Państwowej Szkoły Dramatycznej, świadczący swym wysokim poziomem o rzetelności i trafności panującego w niej systemu pedagogicznego. W szeregu djalogów i epizodów zwracał uwagę doskonały dobór ról do typów i dyspozycyj aktorskich poszczególnych adeptów, wśród, których — nawiasem mówiąc — płeć żeńska zaprezentowała się znacznie bardziej interesująco.

Parę krótkich uwag: W. Łuczycka, bardzo uzdolniona, predestynowana do ról charakterystycznych, ze specjalnem zacięciem do typów ludowych. Paszkowska, obdarzona ładnym głosem, ma dużo wdzięku, wyróżniła się w Pannie Młodej z „Wesela“. Leman, amantka ma dobre warunki, zacięcie charakterystyczne. J. Braunówna, wyróżnia się stylem gry, predestynującym ją do ról o zakroju heroicznym (Krasawica z „Bolesława Śmiałego“). Na uwagę zasługuje prócz opanowania słowa i gestu, szczególna plastyka, powiązanie rytmiki ruchów ze słowem. S. Maliniakówna odznacza się swobodą w prowadzeniu djalogu; wygląda na tragiczkę (ze względu na warunki zewnętrzne), ale nią nie jest. Sommerówna ma dobrą dykcję; byłaby może lepsza w recytacji, niż na scenie., Gerson wykazała zacięcie dramatyczne (w „Judaszu z Kariothu“). Niedziałkówna ma dużo wdzięku, Józefczywna łatwość zachowania się na scenie i dobre ruchy; może być użyteczna w zespole.

O. Pośpiełowski, subtelny i kulturalny jest jeszcze zbyt młodzieńczy, ale ma duże zadatki na dobrego aktora; trzeba mu jeszcze wyrobienia (skrępowane ruchy). Br. Lipski, jako Judasz, wykazał nieprzeciętny temperament aktorski. Więckowski uzdolniony wielostronnie, ma jednak niebezpieczne tendencje do przegrywania dokładnie opracowuje role. Dobre warunki ma Mrożewski, może być użytecznym aktorem. Martyka dobry jako Drwal w „Zaczarowanem kole“, w „Szczęściu Frania“ słabszy, choć szczery i naturalny. Winczewski jako Grabiec i Jasiek z „Zaczarowanego koła“ wykazał temperament i zacięcie komiczne. U J. Składanka widzimy szczery temperament aktorski i poważne podejście do opracowanej roli.

Zawiadomienie

Z powodu wyjazdu Jerzego Brauna na okres 2-miesięczny, redakcję „Zetu“ obejmie w jego zastępstwie p. Władysław Sebyła, ul. Brzeska 5 m. 54.

L. Wyczółkowski w I. P. S.

Wystawa, którą I. P. S. zorganizował z okazji ośmdziesięciolecia urodzin Leona Wyczółkowskiego, daleką jest wprawdzie od wyczerpania całego bogactwa tworu tego wielkiego malarza, — jednakże, dzięki jej retrospektywnemu charakterowi, — pozwala prześledzić jego twórczość od roku 1872, aż do lat ostatnich.

Ażeby zdać sobie sprawę z artystycznej działalności Wyczółkowskiego i ze znaczenia jego dzieł dla polskiej kultury artystycznej, — należy, dla uchwycenia zasadniczych rysów jego sztuki, — uprzytomnić sobie, że ten wiecznie młody i zdobywczy artysta nie mieści się zupełnie w wąskich ramach swojego pokolenia. Uczeń Gersona i monachijskiego Wagnera, młodszy zaledwie o czternaście lat od Matejki, — dziś, mimo ciężaru ośmdziesięciu lat, zadziwia każdego prawdziwie młodzieńczą bujnością temperamentu i niewyczerpanym wprost entuzjazmem pracy.

Źródłem głównem wyobraźni Wyczółkowskiego jest bezwątpienia rzeczywistość polska. Na sztukę jego złożyły się w pierwszym rzędzie pierwiastki lokalne, które jednakże dla ogólnego wyglądu obrazów i stylu — nie stały się decydujące. Rozstrzygającym natomiast był sposób reagowania artysty na świat zjawisk, nawskroś impulsywny i bardzo zmysłowy. Krajobraz czy architektura, człowiek czy kwiat — to tylko preteksty rozbudzające wrażliwą wyobraźnię artysty. Ten wybitny sensualizm (nakłaniający go do częstego posługiwania się arcywrażliwą kredką litograficzną czy pastelową), sprawił, że w swojej pracy Wyczółkowski szuka podniet nie treściowych, lecz zmysłowych, optycznych.

Z kompleksu wrażeń wzrokowych — prawdziwie bliskiem jest dla niego tylko — światło. Dlatego to kontrastowe efekty światłocienia stanowią podstawowy element w dziełach tego malarza, tak niezrównanie wypowiadającego się w sztuce czarnobiałej, w grafice.

Nie od rzeczy będzie stwierdzić, że światło jest dla naszych oczu najbardziej pierwotnem, fundamentalnem zjawiskiem. Wobec tego faktu dziwić się nie można, że każde z dzieł Wyczółkowskiego trafia bardzo łatwo i bezpośrednio do wrażliwości widza.

Zagadnienie światła emocjonowało artystę od zarania jego twórczości (Nr. 78 „Św. Kazimierz“) i było dla niego bodajże cenniejszym walorem malarskim niż barwa (Nr. 100 „Rybak“). Nie przeszkodziło to mu bynajmniej być niezrównanym kolorystą, o czem mówią nietylko jego mocno komponowane malowidła (np. 122, 124), ale nawet jednobarwne litografje (Nr. 24). Też same litografje mogą być jaskrawym dowodem mistrzowskiego opanowania techniki rysunkowej. Wpatrując się w takiego np. „Rybaka“ (Nr. 12) lub w „Rynek Starego Miasta“ (Nr. 23), nawet największy sceptyk uwierzy, że cały świat zazdrości nam talentu Wyczółkowskiego.

Gdyby chodziło o skwalifikowanie sztuki Wyczółkowskiego pod względem plastycznego typu, musielibyśmy nadać jej miano realizmu ale realizmu idącego w kierunku syntetyzowania, a nie analizowania szczegółów. W tym względzie dzieła Wyczółkowskiego zbliżają się do dzieł jednego z jego mistrzów, mianowicie Matejki, który posiadał równie silne i głęboko tkwiące poczucie rzeczywistości i dawał mu ujście w łudzącem odtwarzaniu zaobserwowanych zjawisk, np. w oddaniu miękkości aksamitu, subtelnych błysków jedwabiu i drogich kamieni it.p. Różnica między obydwoma artystami w pojmowaniu rzeczywistości leży w tem, że Wyczółkowski idzie dalej w kierunku ekspresji niż Matejko, przyczem opiera się raczej na intuicji i wyczuciu zmysłowem, niż na objektywnej obserwacji zjawisk (Nr. 111, 112, 113). Takie sensualistyczne nastawienie wyobraźni wobec podniet zewnętrznych — zbliża Wyczółkowskiego do impresjonizmu, który zresztą w swej istocie nie jest niczem innem, jak odmienną formą naturalizmu, powiedzmy wysublimowanym naturalizmem. Nie ulega wątpliwości, że impresjonizm wpłynął na wyrobienie zainteresowania się światłem słonecznem u Wyczółkowskiego. Całkowicie jednak nie zdołał go dla swych celów artystycznych pozyskać. Na przeszkodzie stanęła sama natura wyobraźni artysty, związanej nie tylko z barwnem i świetlnem przejawieniem się przedmiotów, ale też i z ich kształtem.

Tem nie mniej twórczość Wyczółkowskiego jest impresjonizmowi bliska, gdyż gruntuje się na problemie wrażeń. Wra-

(Ciąg dalszy w 4-ej szpalcie).

żenia te idą jednak nie ku analitycznemu rozbiciu, lecz ku syntetycznemu zwarciu formy. Stąd to tak częste są u Wyczółkowskiego — skróty wrażeń optycznych, naładowane expresją, a przytem sprzeczne z impresjonistycznym dywizjonizmem, jak w „Portrecie Solskiego“ (Nr. 4) lub w w „Primulach“ (Nr. 9).

To chwytanie jakąś genjalną wprost intuicją malarską widzialnej istoty zjawisk — sprawia, że w kompozycjach Wyczółkowskiego następuje częściowe odmaterjalizowanie przedstawionych przedmiotów, prowadzące niemal do negacji świata materjalnego. Zaobserwować to można nie tylko w utworach z dziedziny grafiki (która z natury swej ma w sobie coś z czarnobiałej magji), jak np. w „Cynerarjach“ (Nr. 5), ale nawet w obrazach tak pozornie naturalistycznych, jak „Krzyż Kazimierza Jagiellończyka“ (Nr. 111). Wzrokowa synteza rzeczywistości osiąga tu tak wysoką skalę, że graniczyć się zdaje z czystą abstrakcją

Wyraźniej aniżeli w dziełach z najpłodniejszego okresu mistrza, występują dążenia, przetwarzające przyrodniczą rzeczywistość, — w autolitografjach z ostatnich lat twórczości, takich np. jak pejzaże Nr. 11, 30, 36, w których wola twórcza artysty wypowiedziała się niebywałą lapidarnością ekspresji formalnej i kolorystycznej.

Cały zresztą dorobek plastyczny Wyczółkowskiego to nieskończony szereg dokumentów przeżywanej wyjątkowo intenzywnie chwili. Każdy najdrobniejszy szkic to wypowiedź nowej prawdy artystycznej zdobywanej mocą genjalnej intuicji, wchłaniającej bez reszty istotę każdego zjawiska natury.

Zaprawdę, że twórczość Wyczółkowskiego może być niezbitem świadectwem, że konkretna rzeczywistość ma w sobie moc najbardziej fantastycznych możliwości, jeżeli patrzeć na nią przez pryzmat twórczego temperamentu.

St. E. Rogoyski.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

P. Józefowi Poch. Kraków. Będę z początkiem lipca w Krakowie — chciałbym bardzo skomunikować się z Panem. Obie książki żądane dostarczę. Za serdeczne słowa dziękuję.

P. Stanisławowi M. Łomża. Za miły list dziękujemy. Wiersze oddaliśmy do oceny redaktorowi działu literackiego. O wyniku doniesiemy listownie. Numery żądane wysłaliśmy (4 egz. — 2 zł.). Broszura do nabycia w adm. (cena 1 zł.) za załączonym blankietem. „Sprawy społeczne“ poruszamy w miarę nasuwających się zagadnień — nie mogą one jednak zadominować w piśmie.

REDAKCJA: Warszawa — Jerzy Braun, Inżynierska 7 m. 30. Telefon 10 - 20 - 58. **Kraków — Tadeusz Kudliński, Słoneczna 15 m. 9.**

ADMINISTRACJA: Warszawa, Inżynierska 7 m. 30. Tel. 10-20-58. Konto P. K. O. 153.210. **Lwów: Józef Radzimiński, Strzała 8. Tel. 40-35.**

Prenumerata: kwartalna 3 zł., półroczna 5 zł., roczna 10 zł.

Druk. „Nowogrodzka“, Warszawa, Tarczyńska 4, tel. 680-20.